

Mirosław Karwat

O KSIĄŻCE RYSZARDA SKARZYŃSKIEGO PT. *PODSTAWOWY DYLEMAT POLITOLOGII*

Początkowo nie zamierzałem wypowiadać się na temat tej książki i sam odwodziłem od tego kolegów, także obrzuconych błotem. Wychodziłem z założenia, że podobnie jak nie reaguje się na zaczepki chuligana, nie należy też podejmować dyskusji z paszkwilantem ani stawiać do pojedynku z człowiekiem, który swoim postępowaniem sam pozbawił się zdolności honorowej. Zwykle nie publikuje się również recenzji ani polemiki z książką, która narusza wszystkie możliwe standardy profesjonalizmu i elementarnej kultury sporów. Ale z upływem czasu przekonałem się, że to była reakcja naiwna. Bowiem podskórna sensacja zatoczyła szeroki krąg, zapewniając autorowi *publicity*, nawet zaproszenia na spotkania autorskie pod poważnym szyldem dyskusji akademickiej, prowokując dyskusje bez udziału osób „oskarżonych”. Zdarzyło się nawet tak, że podczas pewnej konferencji grzecznie użyto Ryszardowi Skarzyńskiemu mikrofonu właśnie wtedy, gdy już obaj z Bohdanem Kaczmakiem byliśmy w drodze powrotnej. Trwała więc gra do jednej bramki. Nasi prominentni koledzy zaś – kierownicy znieważonych i zniesławionych instytucji, korporacyjni liderzy środowiska - pryncypialnie potępiali ten wyskok... w rozmowach kularowych, jednak w swych oficjalnych rolach strażników zasad nabrali wody w usta. Nikt czynnie nie zabrał głosu w obronie standardów dyskusji ani też w obronie reputacji badań i studiów politologicznych. Podtekst był czytelny: załatw to sam, za siebie i za nas.

Wygląda na to, że frontalny atak na środowisko, skupiony „na szczęście” na kilku osobach, wprowadził znieścaczył wszystkich, jednak na poziomie publicznym wyzwolił co najwyżej panikę stadną (co za ulga, że nas akurat pominął, zejdzmy mu z drogi, to nas nie ruszy), a gdzieś tam dyskretną satysfakcję.

Uświadomiłem też sobie, że niewielu młodszych kolegów zada sobie trud, aby poddane w tej książce karykaturalnej dezinterpretacji publikacje zaatakowanych autorów poznać z pierwszej ręki, w niewypaczonej postaci. Dotychczas tylko raz osobiście dla Ryszarda Skarżyńskiego styl polemiki i „podboju nowego obszaru” doczekał się odpowiedzi, przy okazji wcześniejszej książki¹. A przecież to, co jest tolerowane, staje się normą.

Z tego powodu uczczę rocznicę ukazania się tej rzeczywiście nieszablonowej książki swoją opinią na temat rzetelności zawodowej i kwalifikacji moralnych kolegi, który po przewróceniu stolika ogłosił swoje zwycięstwo w partii szachów.

Książka Ryszarda Skarżyńskiego jest miarodajna – lecz nie dla stanu nauk o polityce w Polsce, jedynie dla stanu psychicznego autora. Inna rzecz, że dwuznaczność lub strusia taktyka reakcji na nią jest pouczającym wskaźnikiem stanu i morale naszego środowiska.

W tytule mamy zapowiedź analizy problemu: rozstrzygany ma być dylemat, czy nauki polityczne w Polsce zachowają akademicki charakter i poziom, czy też staną się pseudo-naukowym szyldem dla wiedzy czysto potocznej, magazynem dyplomów przyznawanych za dowolny temat rozprawy, a jeśli chodzi o ich dorobek, to wręcz – jak sugeruje śmiało autor – śmietnikiem, składowiskiem makulatury. Sprawa postawiona na ostrzu noża – tyle tylko, że przy okazji, wymachując nożem, kolega sam się skaleczył. Ale czytelnik zachęcony takim mocnym sformułowaniem tematu łatwo daje się wciągnąć w grę autora – za sprawą tabloidalnie atrakcyjnych personalnych smaczków i opisu inwencji autora w inwektywach, epitetach, etykietkach, czyli sprawności porównywalnej z walorami zawodnika konkursu, kto dalej lub szerzej splunie.

Rozpościera się przed nami istna psychodrama czy też indywidualno-grupowy seans psychoterapii. Z ekshibicjonistyczną pasją i z widocznym nerwicowym natręctwem autor informuje niemal na każdej kolejnej stronie, jak bardzo nienawidzi

¹ Zob. Teresa Łoś-Nowak, *O książce Ryszarda Skarżyńskiego Anarchia i policentryzm. Elementy teorii stosunków międzynarodowych, jej oryginalności oraz stylu polemiki naukowej*, w: Wł. Mich, J. Nowak (red.), *Wokół teorii stosunków międzynarodowych*, Lublin 2012.

kilku osób, zaś pastwiąc się nad nimi, rozczuła się nad sobą (jak bardzo czuje się niedoceniony, niezauważony, niewysłuchany). I przy tym daje czytelnikom szansę: jeszcze macie możliwość porzucić fałszywych proroków i zostać moimi uczniami, o ile zadacie sobie trud przeczytania i dorośnięcie do zrozumienia kamienia filozoficznego, jaki udostępniam w części piątej, rzucając perły wieprzom.

Namiętności osobiste (zazdrość, zawiść, antypatie charakterologiczne splątane czasem z różnicą poglądów, ale najczęściej o podłożu ambicjonalnym) nie są czymś rzadkim ani niezwykłym w środowiskach twórczych; choć z pewnością ich zasięg, natężenie i publiczne ujawnianie jest bardziej cechą kręgów artystycznych i literackich niż naukowych. Naukowcy tracą dystans do takich emocji głównie wtedy, gdy rywalizują o stanowiska, prestiżowe tytuły czy dotacje. Napięcie emocjonalne z tym związane bywa rozładowywane dwojako: albo konstruktywnie, przez dowodzenie własnej wartości własnymi dziełami, licytację merytoryczną i porównanie, kto jest lepszy, albo przez próby niszczenia rywali i oponentów, w nadziei, że ich niszczenie będzie tym samym dowodem ich nicości i własnej wyższości, mylonej z przewagą agresora. Nikt poważny jednak – zwłaszcza w nauce – nie poświęca kilkuset stron na wylanie surówki ze swojego pieca. Uczonym zwyczajnie szkoda na to czasu. To jeden ze sprawdzianów profesjonalizmu uczonego: czy umie mówić o badanych problemach albo nawet o różnicach poglądów, skupiając się na temacie i kryteriach merytorycznych, czy też musi „ulżyć sobie”, wyrażać swoje emocje, uprzedzenia, załatwiać porachunki i „wygrywać” spór erystyką.

Najdelikatniej mówiąc, ta publikacja to nieprofesjonalne zachowanie zawodowca, narażające go jednak na pytanie o poziom i granice jego profesjonalizmu. „Demaskatorska” furia w stosunku do kolegów obnaża samego autora.

Rekordy nierzetelności

Książka Ryszarda Skarżyńskiego nie jest ani polemiką – spełniającą wymogi merytorycznej kontrargumentacji odnoszonej do tez podważanych, lecz przytaczanych adekwatnie, ani nawet pamfletem (jeśli przez pamflet rozumieć utwór nacechowany wprowadzie złośliwością i satyrycznym przejawskrawieniem, jednak odnoszący się do faktycznych cech i poglądów osób krytykowanych), lecz zwyczajnym paszkwilem z elementami donosu. W publikacji tej autor narusza elementarne zasady etyki zawodowej pracownika nauki, na czele z zasadami rzeczowości, uczciwości w krytyce i kultury dyskusji.

Zajrzyjmy do kodeksu *Dobre obyczaje w nauce*. Znajdziemy w nim wymowne nakazy i zakazy:

1.8. *Pracownika nauki obowiązuje postawa krytyczna.*

W swojej działalności profesjonalnej pracownik nauki szanuje poglądy autorytetów naukowych, ale wyżej niż autorytety stawia rzeczowe argumenty. Pracownik nauki dostosowuje stanowczość swych wypowiedzi do stopnia ich uzasadnienia. (...)

1.11. *Pracownik nauki nie działa złośliwie na szkodę reputacji zawodowej innego kolegi. (...)*

1.13. *Pracownicy nauki mają szczególny obowiązek szerzenia w swoich środowiskach osobiście oraz za pośrednictwem instytucji i organizacji naukowych, zasad rzetelnej pracy naukowej, tępienia nieuczciwości naukowej lub łamania dobrych obyczajów.*

3.3. *Pracownik nauki powinien słowem i przykładem przekazywać swym uczniom wiedzę, umiejętności i zasady dobrych obyczajów w nauce.*

5.5. *Pracownik nauki dba o to, aby krytyka, dyskusja i polemika naukowa prowadzone były z poszanowaniem zasad szacunku, rzeczowości i rzetelności. (...) Zasada rzeczowości wyklucza nadawanie krytyce lub polemice charakteru personalnego. Zasada rzetelności potępia deformowanie przedmiotu krytyki w celu jego ośmieszenia lub łatwiejszego stawiania zarzutów. (...)*

Jak się ma temperament autora do tych zasad? Kolegów, przeciw którym zwraca swoje pióro, za wszelką cenę – choćby za cenę ekwilibrystyki słownej

i marnych manipulacji interpretacyjnych – chce uczynić nieukami, ignorantami względnie doktrynerami, naiwnymi moralizatorami i naprawiaczami świata, kryptoplagiatorami oraz osobami ignorującymi tradycje nauki i dorobek klasyków, przyjmując za kanon własną – wybiórczą i arbitralną – listę. Kategoryczność sądów jest odwrotnie proporcjonalna do jakości argumentów i dokumentacji; zresztą, o argumenty autor nie dba, wystarczają mu epitety.

Głównym narzędziem „polemiki” – obok inwektyw, epitetów (teorioignoranci, ideokopiarki, wykładowcy szkółki parafialnej lub WUMLu itp.) – są w tej książce insynuacje. Autor imputuje krytykowanym kolegom intencje i poglądy, jakie pasują mu do pożądanego demonicznego, a zarazem kompromitującego w jego mniemaniu wizerunku. W szczególności z upodobaniem powtarza i zamieszcza na okładce dwie tezy: (1) pogląd, którego żadna z zaatakowanych osób nie wypowiedziała, że jakoby „wszystko jest polityczne” – z pominięciem zastrzeżenia, że potencjalnie (a więc że niemal wszystko m o ż e, choć nie musi, mieć znaczenie polityczne) i w określonych okolicznościach, a nie kiedykolwiek i gdziekolwiek; (2) stwierdzenie, że „według teoretyków polityki III Rzeczypospolitej [zwróćmy uwagę na tę polityczną etykietkę! – M.K.] politologia nie ma własnego przedmiotu poznania. Profesorowie nie zdają sobie sprawy, iż wskutek przyjęcia takiej tezy politologia traci status dyscypliny nauki”.

W odpowiedzi na tę własną imputację Ryszard Skarżyński euforycznie masakruje tak „ustawionych” kolegów: skoro wszystko jest polityczne, to właściwie nic nie jest polityczne, z czego ma wynikać, że politolodzy sami odbierają sobie swój przedmiot i tożsamość, a przez to pozbawiają siebie prawa do statusu uczonych. Przezornie nie przytacza (bo nie byłby w stanie) żadnego cytatu o takiej treści, lecz zamieszcza odsyłacze do swojego „streszczenia”. Podobnie zresztą postępuje w całej książce, serwując arbitralne interpretacje i aprioryczne oceny bez jakiegokolwiek pokrycia w komentowanych, lecz nieprzytaczanych tekstach. Student lub doktorant, który w ten sposób omawiałby lub podważał cudze poglądy, zostałby zdyskwalifikowany. Pouczono by go, że najpierw należy przytoczyć czyjąś tezę lub definicję w oryginalnej postaci, a dopiero potem się do niej odnieść. Lecz takimi regułami nie przejmuję się

żaden propagandysta czy erystyczny polemista, który obala taką tezę, jaką sam przypisuje ludziom krytykowanym, który publiczności przedstawia fakty lub poglądy wyłącznie z drugiej ręki, selektywnie i zgodnie z własnym życzeniem, od razu oprawione w odpowiednie ramy pożądanych etykietek. Temperament propagandysty wyraźnie dochodzi do głosu, gdy Ryszard Skarżyński kataloguje kolegów etykietkami ideologiczno-ustrojowymi, utożsamiając je z cezurami miejsca i czasu (teoretycy PRL, teoretycy III RP).

Rozdwojenie jaźni: zbawiciel-pogromca

Mógłby ktoś przyjąć za dobrą monetę, że agresywna poetyka tej książki wynika z żarliwej troski autora o tożsamość i godny status dyscypliny, o dobro wspólne środowiska politologów i o interes społeczeństwa, państwa, które ponoszą koszty funkcjonowania i określonej jakości pracy tych politologów. Ot, zaangażowanie w sprawę sprawiło, że emocje go poniosły i w tej zapalczowości przesadził z inwektywami oraz kategorycznymi uogólnieniami na wyrost. Może nawet pomylił adres, ale działał w dobrej wierze i w słusznej sprawie.

Można by zatem uwierzyć, że ta książka to po prostu sygnał do pobudki i bicia na alarm, bo nasza dyscyplina gnije i upada, wezwanie do mobilizacji w celu ratowania politologii, zanim będzie za późno. A jak wiadomo, gdy ktoś biegnie gasić pożar, to nie czas na etykietę, może nawet kogoś po drodze potrącić i przewrócić; wliczmy to w koszty akcji ratunkowej i podziękujmy mu za refleks.

Co prawda, Ryszard Skarżyński ratuje obiekt swej troski w ten osobliwy sposób, że opluwa – generalizując – dorobek całej dyscypliny, całego środowiska, zaś akcję ratunkową wieńczy wezwaniem do likwidacji instytucji i kierunków studiów, które tak zwięźle podsumował. Uwierzmy jeszcze przez chwilę, że to działanie jak u strażaka, który sam burzy ścianę, aby nikogo nie przygniotła. Trudno jednak nie zauważyć, że to taki strażak, który, gasząc ogień, sam podpala.

Pamflet Ryszarda Skarżyńskiego to manifest wyjątkowej megalomanii: na opisanych zgłiszczach i śmietniku (tak, to jego sumaryczne określenie dorobku

polskiej politologii: „kosz na śmiecie”) pozostaje już tylko jeden badacz nieskażony; jedynym prawdziwym uczonym wśród politologów okazuje się oczywiście sam autor. Jak biblijny prorok straszy oponentów zagładą, a pozostałym daje szansę ocalenia pod warunkiem przystąpienia do kręgu jego wyznawców.

To dość prosta, znana z praktycznej polityki, droga do autokoronacji: odstrzeleń wszystkich, dowodząc namiętnie, że wszyscy poza mną są do niczego, a wtedy jako jedyny ocalały będę też najlepszy.

Sprawdźaniem rzeczywistych motywacji i intencji autora – nie urojonych misjonarsko-zbawicielskich, lecz destrukcyjno-autopromocyjnych (wzniosę swój pomnik na cudzych gruzach), jest jego wyraziście określony stosunek do instytucji, w których uzyskał kolejne stopnie i tytuły, w których wspinał się – nie samotnie przecież, lecz wspierany przez innych – po szczeblach swojej kariery.

Ślubowanie doktorskie, jakie każdy z nas składa przy odbiorze dyplomu, zawiera pewne zobowiązanie: (...) *że zachowasz zawsze życzliwą pamięć o tym Uniwersytecie, na którym zdobyłeś najwyższy stopień naukowy w dziedzinie nauk humanistycznych i że zawsze w jego potrzebach nieść mu będziesz pomoc w miarę swych możliwości.*

Swoje zapewnienie sprzed lat realizuje Ryszard Skarżyński w dość oryginalny sposób. Oto jak promuje uniwersytet, na którym uzyskał kolejny dyplom:

Na stronie 341 stwierdza: *Tego państwa nie stać na utrzymywanie takiego uniwersytetu...* i wielokrotnie nawołuje do zamknięcia wydziałów lub instytutów politologicznych na UW i w całym kraju. Adres tych wezwań jest czytelny: niech władze zrobią z tym bagnem porządek.

Podobnie życzliwie wypowiada się o Instytucie Studiów Politycznych PAN, w którym pracował i publikował przed laty, będąc tam kierownikiem zakładu. Czyli przez jakiś czas współtworzył i współfirmował to, co dziś przedstawia jako kwintesencję degrengolady. Postawa jak z typowej psychologii neofity lub konwertyty: z największą pogardą mówić o byłych kolegach, ale tak, jak gdyby mowa była nie o własnym uczestnictwie i jego spuściźnie, lecz o świecie, gdzie mnie nie było. Pewnie autor

kieruje się tu – ale tylko na własny użytek – swoistą filozofią „grubej kreski”. Mianowicie: dopóki gdzieś pracuję, dopóty ta instytucja jest z grubsza w porządku (choć daleka od mojej własnej doskonałości), lecz z chwilą, gdy z niej odchodzę, oczywiście pograża się w zgniliźnie.

Potwierdzając zaś przyjęcie obowiązków recenzenta w pewnym kolokwium habilitacyjnym, Ryszard Skarżyński nie omieszkiał zwrócić się do Centralnej Komisji Stopni i Tytułów Naukowych z wnioskiem (żądaniem?), aby wydziałom nauk politycznych polskich uczelni natychmiast odebrać uprawnienia do nadawania stopni w zakresie nauk o polityce, gdyż – jak uznaje za oczywistość – w swej książce udowodnił, że nie spełniają one wymogów akademickich. Intrygujący to przejaw pryncypialności: przyjąć zaszczyt i wynagrodzenie, pokwitować, a przy pokwitowaniu opłuć.

Tak w praktyce wygląda jego troska o stan i perspektywy polskiej politologii. Rozpędzić! Zlikwidować! W trybie komisarycznym wyznaczyć likwidatora, lustratora i gwaranta sanacji od podstaw. Książka nie pozostawia wątpliwości, że autor zgłasza się na ochotnika do udziału (chyba w odpowiednio wpływowej roli) w takim przedsięwzięciu. Profesor w wieku przedemerytalnym ujawnia się z temperamentem hunwejbina.

Ciekawe, że będąc w swym mniemaniu krytykiem tak pryncypialnym, nie wpadł na pomysł znacznie prostszy w realizacji, a zależny tylko od jego własnej woli i konsekwencji w tak druzgocącej krytyce całego środowiska. Wystarczyłoby dać dobry przykład samooczyszczenia i samemu zrezygnować ze stopni i tytułów uzyskanych w zakresie nauk o polityce w instytucjach, których marność dowodzi, których dyplom przynosi taki wstyd. Tego jednak nie robi, podobnie jak nawróceni ponieważ dekomunizatorzy nie zwrócą swoich dyplomów, orderów ani nagród, premii, przydziału mieszkań i talonów na samochody otrzymanych w PRL.

Spóźniony refleks?

Przesłanie tej książki jest czytelne: politologia polska powróci do zdrowia, jeśli wykluczy się z niej sprawców i nosicieli degeneracji – w postaci osób wyróżnionych w książce atakiem personalnym. Większą część książki wypełnia płomienna, choć monotonna, mowa oskarżycielska, utrzymana w poetyce podobnej do tej, w jakiej przed laty pisane były broszury i przemówienia ukazujące bezmiar nicości i szkodliwości wybranych wrogów ludu. I zgodnie z tymi wzorcami (jak wiadomo, powtarzanie utrwała) skonstruowana jest podobnie jak piosenka z kolejnymi zwrotekami i z natury stałym refrenem. Przytomniejszy czytelnik podstawowego dylematu może mieć własny dylemat: co jest rzeczywistym celem, a co pretekstem dla tej ekspedycji karnej. Czy martwi Skarżyńskiego stan polskiej politologii, czy też cieszy go, że z tego powodu może sam zabłysnąć, kopiąc kolegów, z którymi jego droga się rozeszła.

Demaskatorska przenikliwość Ryszarda Skarżyńskiego jest całkiem świeżej daty, o czym świadczą przynajmniej dwa przykłady.

Mój artykuł *Cecha polityczności i dziedzina teorii polityki* – uznany w tej książce za jedno ze źródeł skażenia, tj. upotocznienia politologii - ukazał się w zbiorze pod jego redakcją *Carl Schmitt i współczesna myśl polityczna* w roku 1996. Mniejsza o to, że poświęcony jest właśnie polemice z echami potocznego myślenia w teorii polityki. Powstał na zamówienie kolegi Ryszarda (wówczas mojego zwierzchnika) i został zakwalifikowany do druku bez opatrzenia polemiką w tym samym tomie. A przecież jako koordynator tomu mógł ten tekst po prostu odrzucić, mógł uzależnić publikację od poprawek zgodnych z jego poglądem na sprawy lub też skorzystać z bezpośredniej okazji do natychmiastowej riposty albo z oczywistego przywileju odcięcia się od tego tekstu w przedmowie do całości. Jego błędy odkrył, bagatela, po 15 latach. To sytuacja równie komiczna, jak spóźniony o 10 minut wybuch śmiechu bystrego inaczej słuchacza, który w końcu zrozumiał opowiedziany mu dowcip.

Wiele miejsca poświęcił autor mojej książce *O złośliwej dyskredytacji*, z widocznym wysiłkiem anihilacyjnym. To w roku 2011. Trochę wcześniej, w swojej

opinii z dnia 5 czerwca 2007 roku – wystawionej dla Rady WDiNP UW w związku z wnioskiem o powołanie mnie na stanowisko profesora UW na czas nieokreślony – tenże Ryszard Skarżyński napisał: *Za najważniejsze dzieło Mirosława Karwata z tego okresu należy uznać <<O złośliwej dyskredytacji. Manipulowanie wizerunkiem przeciwnika>> (...) Praca ta stanowi nie tylko podsumowanie wieloletnich badań, ale także jest dziełem niezwykle obszernym, wręcz szczegółowym. Stanowi odważne wejście teoretyka polityki na pole badawcze zdominowane dotychczas przez specjalistów od marketingu politycznego. Dzięki temu pokazuje funkcjonowanie tego, co zwykliśmy nazywać sferą publiczną, w nowym świetle. Jak sądzę, zdecydowanie mniej wyidealizowanym, bardziej realistycznym, rzeczowym i wnikliwym (...).*

Lecz w tym późniejszym manifestie, który mógłby nosić tytuł *Anty-Karwat*, pisze teraz, że to przejaw idealizmu, naiwnego moralizatorstwa i pedagogiczno-misjonarskich zapędów. A w innym miejscu skwapliwie przytacza cudzą opinię-głupstwo, że przedmiot moich zainteresowań w ostatnich kilkunastu latach (socjotechnika, a zwłaszcza manipulacja, prowokacja, perfidia, repertuar i mechanizm demagogii) to... problematyka marginalna dla nauki o polityce i jakkolwiek rozumianej wiedzy o polityce. W rzeczy samej, dietetyka i sztuka kulinarna to sprawa marginalna dla kucharza. Zaś książkę *Teoria prowokacji* podobno bezpodstawnie opatrzyłem podtytułem *Analiza politologiczna*, gdyż nie raczyłem łopatologicznie wyjaśnić, na czym polega polityczność omawianej problematyki ani politologiczny charakter jej ujęcia. Nie przewidziałem, że profesora-politologa trzeba za rączkę naprowadzić na ten ślad. I oczywiście repertuar prowokacji nie ma nic wspólnego z polityką.

Ciekawa, pikantna w świetle jego dzisiejszej karwatofobii, jest konkluzja tamtej opinii: (...) *Powyższa analiza dowodzi, że kandydat będzie mógł w najbliższym czasie wystąpić o tytuł naukowy profesora. Jego wniosek będzie w pełni uzasadniony zarówno od strony kształcenia kadry naukowej, jak i własnego dorobku naukowego. Wspomniana wyżej książka <<O złośliwej dyskredytacji>> w moim przekonaniu spełnia wymagania stawiane przy ubieganiu się o tytuł profesora.*

Na marginesie zauważę jeszcze, że recenzent Skarzyński okazał się bardzo zdolnym moim... uczniem. Zawarty w jego filipice repertuar inwektyw, epitetów, etykietek, insynuacji, przeinaczeń, karykatur i politycznych donosów jest znakomitą i ambitną aplikacją katalogu środków tendencyjnej dyskredytacji, jaki miał okazję poznać we wspomnianej książce. Wszak od czasów Schopenhauera rezerwuariusz erystyki mocno się wzbogacił. Mam swoją – choć nieco dziwną – satysfakcję autorską, że moja praca nie poszła na marne, i nawet mój adwersarz czegoś się ode mnie nauczył. Na wdzięczność nie liczę, zazdrość jakoś przeżyję.

Inny przykład „pryncypialności” profesora Skarzyńskiego i jego odpowiedzialności za własne słowo to druzgocąca (na tym samym poziomie, jak omawiana książka) recenzja pewnej habilitacji, której następnie – zupełnie nieoczekiwanie, przy konsternacji uczestników kolokwium – zaprzeczyło jego głosowanie za nadaniem stopnia. Fakt żywo komentowany nie tylko na uczelni, gdzie miał miejsce ten występ.

Takie meandry ocen i wniosków przypominają przypadłości meteopaty, którego zachowania, dobre maniery lub wyskoki zależą od pory roku, pogody, skoków ciśnienia. U Ryszarda Skarzyńskiego zależą – odpowiednio – od jego stanu psychicznego, nastroju, stanu stosunków z autorami, których poglądy komentuje, od natężenia okazywanej mu kurtuazji lub dotkliwości krytyki, i wreszcie (o czym dalej) od koniunktury politycznej.

W każdym razie wiarygodność kategoriycznych stwierdzeń u kogoś, kto tak łatwo i radykalnie zmienia zdanie, jest co najmniej problematyczna, a dokonana wolta jest dlań obusieczna, gdyż naraża go na rozstrzyganie przez czytelników całkiem innego dylematu: czy jest bezwładnie inteligentny, czy też bezwstydnie koniunkturalny.

Infantylna zemsta

Ale skąd wynika tak radykalna zmiana w ocenie kwalifikacji i dorobku kolegów?

Z książki czytelnik się tego nie dowie, ale sam autor publicznie – na konferencji politologów w Kazimierzu Dolnym – ujawnił okoliczności tej zmiany, jej motywacje i intencje, stwierdzając bez ogródek, że to jego odwet za rzekome upokorzenie podczas pewnego seminarium w INP UW, na którym występował gościnnie z prezentacją swojej autorskiej koncepcji polityki. Jako referent wzbudził – najdelikatniej mówiąc – konsternację wśród słuchaczy; a największą wśród młodych pracowników nauki i doktorantów. Dramatyczny okazał się kontrast między reputacją, jaką wcześniej zawdzięczał swym książkom z zakresu historii myśli politycznej i filozofii politycznej, a zademonstrowaną w referacie-autopanegiryku nonszalancją w stosunku do dorobku poprzedników i autorów sobie współczesnych, co szło w parze z zaskakującą nieudolnością w przedstawieniu własnych założeń, definicji i tez, nieskładnością wywodu, gonitwą myśli, za którą nie nadążała mętność ekspresji. Wizerunek renomowanego uczonego i wieloletniego wykładowcy został wystawiony na ciężką próbę.

Odpowiedzią słuchaczy na tę improwizację nadrabianą wyzwaniem rzucanym całemu światu były liczne pytania z wątpliwościami, komentarze krytyczne, namowy do uściślenia, sprostowania wobec uproszczeń itd., co autor uznał – a narastało to później jak kula śnieżna ze śnieżki – za wrogość i oczywistą intelektualną nicość (znany syndrom geniusza zapoznanego). Rozumiem, że Ryszard Skarżyński miał powody, by czuć się zdruzgotanym i zawstydzonym – ale co najwyżej na takiej zasadzie, jak „markowy” zawodnik, któremu w jakimś meczu przydarzył się blamaż. Wiadomo jednak, że w osobowości narcystycznej wszelkie uchylenie się od hołdu (nie mówiąc już o jakiegokolwiek krytyce czy choćby życzliwej uwadze, podpowiedzi, poprawce) odbierane jest jako „upokorzenie”. I tak też określił to publicznie autor omawianego tu paszkwilu, powołując się jeszcze na plotkę z drugiej ręki, że jakoby ktoś z doktorantów nazwał go „burakiem z Białegostoku”. Zaiste, po czymś takim Warszawa zasłużyła na unicestwienie. Dobrze, że nie miał pod ręką bomby atomowej.

Pokłosem tego epizodu, o jakim najrozsądniej byłoby jak najszybciej zapomnieć, były najpierw przysłane do INP UW trzy pseudorecenzje – formalnie

dotyczące książek Zbigniewa Bloka, Mirosława Karwata i Tadeusza Klementewicza, a faktycznie będące eksplozją osobistej frustracji i kompensacyjnej agresji przeistoczonej w atak personalny. Napisane zostały w ekshibicjonistycznej poetyce wyznania nienawiści, którą poznali później czytelnicy książki *Podstawowy dylemat*. Reakcją na odmowę publikacji w takiej formie i wciąż życzliwą zachętą do zastąpienia amatorskich listów gończych rzeczowym, merytorycznym stylem krytyki z uwzględnieniem reguł kultury dyskusji, było rozszerzenie listy wrogów i rozwinięcie elaboratu z 80 znormalizowanych stron do 350 stron druku (czyli ok. 600 stron znormalizowanych). W rozmowie ze mną – już po opublikowaniu tego epokowego dzieła – autor przejawiał dialektyczną zgoła gibkość. W pierwszym zdaniu: Agresja? Jaka agresja? A w drugim zdaniu: Ja ten wydział zniszczę. Po drodze były jeszcze zapowiedzi udaremnienia awansu Tadeusza Klementewicza na profesora nadzwyczajnego UW. Nieskuteczne, czekajmy więc na zapowiadany zresztą tom drugi egzorcyzmów Skarżyńskiego.

Doprawdy żenujący to objaw infantylizmu. Dąsy, zawziętość i rozmach strategiczny jak z piaskownicy.

Nagłe nawrócenie na kult Franciszka Ryszki

Skarżyński ustawia sobie w wygodnej pozycji i profilu nie tylko tych, których atakuje, ale również autorytety, których chce użyć jako tarczy i jako pałki w swym ataku na piętnowanych autorów. I tak, czytamy w tej książce, że autorzy warszawscy niszczą dorobek Franciszka Ryszki. Ba, dowiadujemy się, że uczniowie Artura Bodnara zdradzili swego nauczyciela i patrona przez tłumienie i zwalczanie poszukiwań dotyczących specyfiki przedmiotu nauki o polityce. Odezwał się adorator i spadkobierca Artura Bodnara, Kazimierza Opałka i Franciszka Ryszki. Tych samych uczonych w innym rozdziale tegoż traktatu-donosu mianował (w domyśle i nie tylko w domyśle, również wprost) koryfeuszami „oczywiście” skompromitowanej teorii polityki PRL.

Larum równie komiczne jak niesmaczne w swym stężeniu hipokryzji.

Oto odnalazł się i przemówił – co prawda, po latach milczenia w tej sprawie – „obrońca” spostponowanego Franciszka Ryszki. Jednak starsi koledzy dobrze pamiętają, z jaką zawziętością podważał Ryszard Skarżyński autorytet Franciszka Ryszki w swojej małostkowej walce o wyłączność na Carla Schmitta; wbrew faktom i rozsądkowi chciał być na tym polu starszy i pierwszy od nestora. Ostrzał artyleryjski kierował zresztą przeciw każdemu, kto ośmielił się – w każdym razie bez jego przyzwolenia – zająć się teorią polityki Carla Schmitta. I nie była to agresja wyłącznie rytualna, lecz jak najbardziej praktyczna, np. taka, jak podjęta w latach dziewięćdziesiątych wściekła, ewidentnie niemerytoryczna próba utracenia pewnej habilitacji, na szczęście nieskuteczna, bo napotkała opór skonsternowanego środowiska.

Drugim „przekrętem” Skarżyńskiego, jako samozwańczego kustosza pamięci o Ryszce, jest powoływanie się na poglądy profesora w argumentacji za urojonym „monizmem teoretycznym”, który ma polegać na tym, że nauka o polityce ma jedną – jedyną adekwatną teorię, której przedmiot i aparat kategorialny jest jednorodny. Ten chwyt-podpórkę powtórzył Skarżyński w panelu na II Kongresie Politologów. Tymczasem każdy, kto zadał sobie trud studiowania publikacji Franciszka Ryszki z zakresu teorii polityki i kto miał okazję uczestniczyć w seminariach profesora, wie, że jego pogląd był dokładnie przeciwny. Franciszek Ryszka konsekwentnie negował nawet sam termin „teoria polityki” (w liczbie pojedynczej) i opowiadał się za terminologią tudzież dydaktyką pluralną (z tezą, że istnieje jedynie wiele konkurencyjnych teorii polityki, wyrosłych z odmiennych orientacji metodologicznych i paradygmatów). Dystans historyczny sprawia, że można mieć w tej sprawie mieszane uczucia: z jednej strony, słuszny był nacisk na poznanie i analizę porównawczą tej wielonurtowości, z drugiej strony, autorytatywne stanowisko profesora Ryszki w radykalnym praktycznym zastosowaniu spowodowało na pewien czas „wylanie dziecka z kąpielą”, tzn. zarzucenie w dydaktyce i w publikacjach teorii polityki uprawianej na innej płaszczyźnie i zasadzie – jako systematyki i syntezy problemów oraz kategorii, poszukiwanie wspólnego mianownika. Ale to kwestia do

osobnej dyskusji; w każdym razie wyjątkowo niesmaczna jest ta autokreacja Ryszarda Skarżyńskiego na spadkobiercę, nieomal ucznia i wykonawcę testamentu Franciszka Ryszki.

Realny problem w fałszywej optyce

Pretekstem do napaści na wybranych autorów, a przy okazji do zdezwauowania całego środowiska, stał się realny problem społeczny, jakim jest niebezpieczna tendencja do obniżania standardów w publikacjach naukowych, w pracach dyplomowych i w przewodach doktorskich, habilitacyjnych oraz do rozmycia tożsamości nauk o polityce. A tendencja taka bezsprzecznie towarzyszy żywiołowemu „rozszerzaniu frontu” w badaniach i w dydaktyce. Przemijająca dziś koniunktura dla politologii zdemoralizowała wielu kolegów spragnionych łatwego sukcesu czy zastępczego szyldu. Zepsucie nadal niebezpiecznie narasta na zasadzie dynamicznego sprzężenia zwrotnego: im więcej profanów, nieuków, hochsztaplerów dopuszczamy do statusu uczonych, tym więcej jest później skandalicznych decyzji o otwarciu przewodu i recenzji sankcjonujących grafomanię, banał, nieudolne kompilacje, gdyż z czasem ci beneficjenci taryfy ulgowej sami stają się „mistrzami” i autorytatywnymi sędziami, poza tym, że pozostają – jak przedtem, u progu swej kariery – załatwiaczami i układowiczami. Zabójcze są też dla politologii praktyki zatrudniania i akredytowania jako politologów wykładowców i badaczy z innych dyscyplin, pozostających w dziedzinie nauki o polityce dyletantami, a tym bardziej przeistaczanie instytutów czy katedr politologii w rodzaj schroniska dla nieprzesadnie wybitnych historyków, prawników, ekonomistów czy pedagogów. Ale w książce Skarżyńskiego ten problem został przedstawiony w postaci wielokrotnie zmistyfikowanej, z gruntu fałszywej.

(1) Autor przypisuje sobie pionierską wręcz zasługę i heroiczny przełom w sprawie, o której środowisko dyskutuje już od dawna (tyle że w stosownych i odpowiedzialnych formach), w której już dawno wypowiedziało się przed nim wiele autorytetów. Inna sprawa, że jak dotąd z marnym skutkiem, że tendencja do inflacji

i profanacji dyplomów politologicznych rzeczywiście pogłębia się i wymaga powstrzymania. Jednak jej przyczyny tkwią nie tylko w samoświadomości i morale politologów, lecz także głębiej - w ekstensywnej reprodukcji działalności naukowej w ogóle. Jeśli chodzi o poziom naukowy politologów, to w tym wypadku ryba nie tyle psuje się od głowy, ile zostaje zatruta w toksycznym środowisku. W każdym razie jednak śmieszna jest ta kreacja i autonominacja na pierwszego przytomnego i sprawiedliwego, który przejrzał na oczy, i zarazem na ostatniego Mohikanina. Wizerunek zdesperowanego i osamotnionego obrońcy jakości studiów, przeciwnika „masówki” i chałtur. Zwłaszcza u profesora, który – jeśli mnie pamięć nie myli – sam swego czasu kierował w Białymstoku wydziałem zamiejscowym uczelni prywatnej powołanym bez stosownych uprawnień i w konsekwencji zamkniętym decyzją ministerialną.

(2) Rzeczywisty problem akademickości badań, publikacji i dydaktyki nauk politycznych został potraktowany jako pretekst i narzędzie do porachunków osobistych oraz do wyładowania osobistej frustracji z powodu domniemanego niedocenienia w środowisku. Stał się okazją do paszkwilu urągającego godności nie tylko osób i instytucji zaatakowanych w konwencji tak prymitywnej i infantylnej, lecz przede wszystkim własnej godności i zawodowej wiarygodności autora.

(3) Motywem przewodnim tej książki jest natrętnie powtarzana jak refren piosenki, i komiczna wręcz, lecz potraktowana jako oczywistość, sugestia, że rozmycie kryteriów tożsamości dyscypliny i wymogów naukowości w wieńczonych dyplomami pracach na stopnie naukowe to skutek zaczytywania się armii politologów w zgubnych pracach teoretyków i niewolniczego wręcz posłuszeństwa (z powodu powszechnego zastraszenia!) wobec Zbigniewa Bloka, Bohdana Kaczmarka, Mirosława Karwata, Tadeusza Klementewicza, Barbary Krauz-Mozer. Przy tej okazji stykamy się z klasycznym mechanizmem projekcji: swój autokratyczny i pełen samoupojenia styl obcowania z kolegami i podwładnymi Skarżyński (a jest z tego znany) przypisuje kolegom. Myślałby ktoś, że obniżenie poziomu (bynajmniej nie wszystkich, niektórych, choć licznych!) prac dyplomowych, publikacji i wykładów to

rezultat i przejaw niedostatków metodologicznego i teoretycznego przygotowania części (ale tylko części!) badaczy i wykładowców nie będących teoretykami; czasem także nonszalancji teoretyków. A może także ich wygody, czerpania korzyści ze zgubnej komercjalizacji oświaty (bo to już nie kształcenie, to „rynek usług edukacyjnych”) oraz masowej, hurtowej produkcji dyplomów. Że to skutek epidemicznej inflacji stopni naukowych, która już dawno przeszła z poziomu magisterium na poziom doktoratów, a zaczyna już obejmować nawet szczebel habilitacji? Otóż nie, to nie komercjalizacja nauki, chałturnictwo i walka o byt (o popyt na usługi), pogoń za nabywcą, nawet nie teoretyczno-metodologiczne niedokształcenie outsiderów politologii, lecz zaczytywanie się w szkodliwych książkach zadżumionych teoretyków ma być przyczyną upadku polskiej politologii.

Co prawda, przeczy temu pewna konstatacja – zresztą, z gatunku pobożnych życzeń: *Książki Karwata, jak on doskonale wie, nie znajdują czytelników, ponieważ nie sposób w nich znaleźć czegokolwiek przyciągającego uwagi* (s. 127; składnię przytaczam za moim wykształconym krytykiem - M.K.).

W innym miejscu, przeciwnie, tłumaczy, że jednak czytają, a ci, którzy nie czytają, też chłoną i przyswajają.

No cóż, obok logiki formalnej, deontycznej i dialektycznej istnieje jeszcze, jak widać, logika maniakalna. Oraz logika Karguła w starciu z Pawlakiem: nie kijem go (że nikt go nie czyta), to pałką (że czytanie go jest szkodliwe, a nawet nieczytający zostają zarażeni).

Tę sprzeczność też można ewentualnie wytłumaczyć metafizycznie (transcendencja szkodliwych, choć nieczytanych idei), psychoanalitycznie (potęgą podświadomości, sublimacja popędów), a nawet medycznie: ofiary Bloka, Kaczmarka, Karwata, Klementewicza i Krauz-Mozer wprawdzie same nie palą, ale w obcowaniu z palaczami ulegają zatruciu. Ale jak to się stało, że jeden jedyny Ryszard Skarżyński okazał się odporny na ich wyziewy, choć przez kilka lat miał styczność niemal codzienną z Karwatem i Klementewiczem?

(4) Wyjątkowym fałszem (udaną naiwnością) trąci natrętna sugestia, że ta przypadłość dotyczy wyłącznie nauk politycznych, a w każdym razie, że tylko w tej dziedzinie osiągnęła stan krytyczny i skandaliczny. Jak gdyby nie było podobnych zjawisk, np. u pedagogów, specjalistów z zakresu nauk o administracji i zarządzaniu czy historyków (gdzie permanentnie toczy się i nie wygasa odwieczna batalia między egzekutorami standardów dyskursu naukowego a zwolennikami potocznego, plotkarskiego, czysto kronikarskiego lub ideologiczno-propagandowego charakteru narracji). Fałszywie schlebując kolegom z sąsiednich, pokrewnych, pogranicznych lub podstawowych i historycznie starszych dyscyplin, Ryszard Skarżyński skwapliwie mianuje ich arbitrami w ocenie kwalifikacji naukowych politologów – byle tylko „dołożyć” politologom przy użyciu rzeczywistego lub mniemanego autorytetu tych innych nauk.

W tej manipulacyjnej taktyce Skarżyński jest o tyle konsekwentny, że wydawniczym recenzentem swego apodyktycznego podsumowania stanu nauk politycznych uczynił profesora (oczywiście kolegę z własnego podwórka, nie z odleglejszych stron) operującego – raczej w badaniach szczegółowych niż w sferze syntez, modeli teoretycznych – na pograniczu socjologii i historii. Profesora, który nawet nie udaje recenzenckiego dystansu do książki, jaką współfirmuje własnym nazwiskiem, gdyż w innym miejscu podobny styl polemiki opiewa jako przykład owocnej „prowokacji intelektualnej”². A swoją drogą ciekawe jest, do jakiej kompetencji w dziedzinie nauki o polityce (zwłaszcza – teorii polityki) oraz metodologii nauk humanistycznych poczuwa się ten recenzent - sąsiad z innego podwórka, skoro podjął się życzliwej oceny książki tak mocnej i śmiałej w generalizacjach, uzurpującej sobie status miarodajnej diagnozy.

(5) W tym zakłamanym hołdzie dla dyscyplin starszych i będących niezbędną podstawą dla politologii Ryszard Skarżyński udaje, że ich nie dotyczy analogiczny jak u politologów problem, czy „wszystko jest historyczne” albo „wszystko jest społeczne”.

² Edmund Dmitrów, *Kilka uwag o pożytkach wynikających z prowokacji intelektualnych dla teorii stosunków międzynarodowych*, w: *Wokół teorii...*, cyt. wyd. Jak się okazuje, erystyczna mieszanka impertynencji, przeinaczeń i kręactwa to „prowokacja intelektualna”.

Nic dotychczas nie wskazuje na to, aby historia czy socjologia przeżywały śmiertelny kryzys z powodu rzekomego rozmycia swego przedmiotu lub aby – ratując swą tożsamość przez wyznaczenie granic między tym, co społeczne/historyczne – zamierzały wycofać się z pól badawczych, na których są obecni przedstawiciele innych dyscyplin: ekonomiści, prawnicy, psychologowie, muzykolodzy. Bo też nie na zasiekach i nie na rzekomej jednorodności przedmiotu opiera się tożsamość jakiejkolwiek dyscypliny nauki, ale na określonym typie pytań, hipotez, ukierunkowaniu poszukiwań, odpowiadających temu pojęć i kryteriów kwalifikacji zjawisk. I żaden ideologiczno-administracyjny zakaz nie zapobiegnie wzajemnemu przenikaniu się i inspirowaniu dyscyplin odrębnych i „konkurencyjnych”.

(6) Ale żeby to zrozumieć, trzeba mieć choćby elementarne pojęcie o różnicy między przedmiotem w sensie ontycznym, abstrakcyjnym przedmiotem poznania, przedmiotem konkretnego badania i przedmiotem wyjaśniania. O tym traktuje książka Józefa Niżnika, na którą powołuje się Skarżyński na oślep; wątpliwe, czy po lekturze – raczej na zasadzie pożyczki z cudzych przypisów (np. od Karwata). Trzeba by też przemyśleć konsekwencje różnicy między pojęciami oglądowymi a pojęciami konwencjonalnymi tudzież zasady aspektowości w poznaniu (tu kłaniają się Mannheim, Ossowski i wspomniany Niżnik). Trzeba wreszcie mieć świadomość strukturalnej i w konsekwencji metodologicznej różnicy między prostą dyscypliną skupioną na jednym tylko aspekcie badanych zjawisk a megadyscypliną, czyli w praktyce rodziną dyscyplin i subdyscyplin, zespoloną jakimś wspólnym mianownikiem. Otóż historia, socjologia, psychologia, ekonomia, pedagogika – i politologia również – nie są dyscyplinami w tym prostym, jednowymiarowym znaczeniu, lecz właśnie rodzinami dyscyplin, niekiedy formalnie dość odległych od siebie pod względem zakresu problematyki, rodowodu i własnego specjalistycznego języka. Wystarczy w tym kontekście przemyśleć związek, a zarazem różnicę między takimi subdyscyplinami jak np. socjologia wychowania, socjologia pracy, socjologia prawa (zaliczana zarazem do bloku prawoznawstwa), odpowiednio – np. między

historią sztuki, historią gospodarczą, historią techniki; między abstrakcyjną teorią państwa, ustrojoznawstwem i badaniami z zakresu komunikacji politycznej.

Ile z tego rozumie Ryszard Skarżyński, atakując z impetem nosorożca, wskazuje sam, gdy z powodu mojego porównania relacji między teorią polityki i politologią (nauką o polityce) do relacji między teorią wychowania i teorią kształcenia a pedagogiką przypisuje mi pedagogiczne misjonarstwo. A dowodzić tego mają moje komentarze następujące po analizie pewnych mechanizmów. To kolejny przejaw logiki maniackalnej, a zarazem rozumowania nie sięgającego nawet poziomu świadomości potocznej, bo opartego na obsesyjnych i prostych skojarzeniach jak u erotomana lub psa Pawłowa. Miska rzeczywiście może kojarzyć się z mlekiem lub mięsem, to z krową dojoną lub przetworzoną na wołowinę i kielbaski, krowa z pastuszką, pastuszek z fujarką i łąką. Ale jako żywo to nie jest tok myślenia właściwy teoretykom.

(7) „Obrona przez atak” (obrona tożsamości i naukowości politologii przez atak na domniemane manowce pseudoteorii i mateczniki „potocznej wiedzy o społeczeństwie”), jaką zastosował Ryszard Skarżyński, przypomina na przemian to wyważanie drzwi otwartych, to znów bombardowanie głową ściany. A dzieje się tak dlatego, ponieważ nie rozumie on subtelnej różnicy między wspólnym przedmiotem nauki (czy też: nauk) o polityce w ogóle, a skonkretyzowanym, zróżnicowanym przedmiotem poszczególnych dyscyplin i subdyscyplin politologii. Co więcej, nie rozumie zróżnicowania funkcji nauki jako takiej (opisowych, eksplanacyjnych, prognostycznych) tudzież podziału pracy w „rodzinie nauk” (historycznych, ekonomicznych, prawnych, politycznych) i związanego z tym wyspecjalizowania poszczególnych (sub)dyscyplin w określonych zadaniach (np. bardziej w interpretacji lub bardziej w ewidencji empirycznej i systematyce zjawisk, w diagnozie stanu rzeczy w pewnej dziedzinie). Wyłazi sztydło z worka, gdy w rozpędzie uznaje za naukę jedynie teorię rozumianą jako dyscyplinę naukową. To duży skrót myślowy, jak poślizg noża przy krojeniu chleba. Wymaganie, by każdy opis czy gromadzenie i przetwarzanie danych służyły odpowiedzi na jakieś pytanie badawcze i wsparte były założeniami

teoretycznymi, ma znaczyć to samo, co utożsamienie wszelkiej idiografii ze sprawozdaniem, raportem albo informatorem. Kto nie jest teoretykiem, ten nie jest naukowcem. Mianujmy tego kolegę rektorem, ministrem – niech zwolni z pracy 80% procent badaczy i wykładowców.

(8) Szarża w obronie przedmiotu nauki o polityce, podlegającego jakoby samolikwidacji w twórczości i dydaktyce politologów (wszystkich?) i to jakoby z woli napiętnowanych z imienia i nazwiska teoretyków-szkodników, jest też o tyle groteskowa, że Ryszard Skarżyński – pozując na alfę i omegę w metodologii nauk humanistycznych – nie potrafi nawet adekwatnie nazwać dyscypliny, której tak bohatersko i z rozmachem straceńca broni. Nie dość, że utożsamia i myli teorię polityki z nauką o polityce w ogóle, to jeszcze w swoim dekrete o naprawie stanu rzeczy mianuje swój obiekt urojonej miłości (bez wzajemności)... teorią politologii.

Czytamy więc na stronie 312: *Teoria polityki to tylko popularna nazwa. Faktycznie zaś to, co określamy tym mianem, jeśli ma mieć status naukowy, musi być traktowane jako teoria politologii, czyli zespół twierdzeń na temat przedmiotu badań dyscypliny.*

Po kilkudziesięciu latach swej pracy naukowej i dydaktycznej nie zdążył zauważyć, że określenie „teoria politologii” jest uprawnione wtedy, gdy mowa jest o metateorii, a nie o teorii „przedmiotowej”. Sięgnijmy znów po analogie: teoria socjologii, teoria socjologiczna oraz teoria społeczeństwa czy też więzi społecznych to naprawdę nie to samo. Teoria pedagogiki to coś innego niż teoria wychowania. Żaden świadomy metodologicznie prawnik nie pomyli prawa z prawoznawstwem ani teorii prawa (jako zjawiska) z refleksją nad przesłankami adekwatności poznawczej określonych pojęć, paradygmatów; w związku z czym uważałby na terminologię, gdy poczuł w sobie mandat od samej Ateny, by uzdrowić nauki prawne przez skonstruowanie wreszcie prawdziwej teorii.

W zetknięciu z taką nieporadnością, która jaskrawo kontrastuje z kategorycznością sądów i ocen dorobku innych badaczy, nieodparcie nasuwa się stara maksyma: *medice, cura te ipsum*. Nie rozpoczyna się strzelaniny bez amunicji, nie

wskakuje się na podium po zawodach, w których wcześniej się nie startowało. Arogancja jest siostrą ignorancji i odwrotnością powściągliwości znawców tematu.

Autorytarna wizja nauki

Z enuncjacji programowych autora wyraźnie przebija autorytarna wizja nauki, spójna z jego osobistym stylem myślenia i wypowiedzi – apodyktycznym, autokratycznym, a więc autorytarnym. Z tego powodu nie dziwi też jego arogancja w stylu polemiki.

Nauka wcale nie jest pluralistyczna, gdyż jej celem nie jest koegzystencja wielu poglądów. Za koegzystencją wielu idei czy teorii opowiadają się jedynie oszuści i ignoranci, którzy symulują badania naukowe. Celem nauki jest wyeliminowanie takiego stanu rzeczy i ona powoli zmierza w tym kierunku. Cel ten osiąga w odniesieniu do części badanych problemów. Dzisiaj już przecież nie ma wielu poglądów na to, jak ziemia istnieje w przestrzeni. Kończy się czas szeregu koncepcji wyjaśniających mechanizm reprodukcji życia. Zaczyna dominować najmłodsza z nich, gdyż wyłącznie ona opiera się na krytyce o może wykazać się statusem teorii w efekcie empirycznego potwierdzenia jej pierwotnych hipotez (s. 310).

Koegzystencja wielu poglądów oczywiście nie jest celem nauki, jednak jest warunkiem dochodzenia do prawdy, czemu nie służy droga na skróty ani jakikolwiek monopol idei.

Nauka pomyliła się Skarzyńskiemu z jakąś średniowieczną teologią, a może z dwudziestowiecznymi wcieleniami jedynej prawdziwie naukowej ideologii. Pobrzmiewa tu jakaś dziecinna tęsknota za „zamknięciem takiej czy innej sprawy” jak śledztwa w prokuraturze i teczki skierowanej do archiwum. To jest ideał nauki? Ustalić, co jest prawdą, raz na zawsze, zakończyć zbędne i jałowe dyskusje, wpoić niedoukom i opornym tę prawdę. Perspektywa w sam raz dla politruka, komisarza do spraw naukowości i eliminacji treści nienaukowych.

Pomińmy już fakt, umykający uwadze Skarzyńskiego, że kryteria prawdziwości, zasadności, alternatywności poglądów w kręgu nauk humanistycznych i społecznych

nie są takie same jak w kręgu nauk przyrodniczych i technicznych lub w kręgu nauk ścisłych, jak w matematycznej aksjomatyce. Wypadałoby wyciągnąć wnioski z dyskusji na temat naturalizmu i antynaturalizmu w nauce, podobnie jak z zasady aspektowości w poznaniu, która relatywizuje prawdziwość tez do określonego kontekstu i zakłada, że odmienne, a nawet przeciwstawne interpretacje zjawisk mogą być... komplementarne.

Groteskowo brzmi – i uderza kategorycznością odwrotnie proporcjonalną do znajomości rzeczy i stanu faktycznego – przytoczone stwierdzenie, że jakieś dyskusje w naukach empirycznych (jak te o powstaniu i reprodukcji życia czy kosmogonii i geofizycznym statusie naszej planety) już się kończą, już ustalono pogląd ostateczny i obowiązujący pod groźbą sankcji wykluczenia. Podobnie władczo zamknął Skarżyński dyskusję na temat natury ludzkiej czy irracjonalności. Bardzo chętnie przybija pieczętkę KONIEC.

Nauka potrzebuje wolności, aby każda hipoteza mogła się pojawić, lecz nie toleruje ich wszystkich. Przeciwnie, metoda naukowa polega na tym, że oddziela się naukę od pseudonauki. I eliminuje teorie, które utraciły zdolność wyjaśniania, dalej już poświęcając się weryfikacji teorii nadal uchodzących za wyjaśniające pewne zjawiska (s.310).

Oryginalne rozumienie swobody poszukiwań i dyskusji w nauce – jak w maoistowskiej kampanii „niech rozkwita sto kwiatów”: najpierw niech wyrośnie, co chce, a my potem skosimy, co trzeba. To nie insynuacja: jeśli się nie zakłada, że sposobem „odsiania plew” jest właśnie dyskusja naukowa, to zakłada się, że istnieje ktoś, kto ma licencję na „metodę naukową”, i na tej podstawie ma prawo do wykluczania poglądów „nienaukowych” według własnej oceny. I właśnie w tym kierunku podąża z „konstruktywną konkluzją” Ryszard Skarżyński: *Być może więc ta teoria polityki, która powstała w Warszawie, Krakowie i Poznaniu, musiała się pojawić, gdy zbłądzono, nie radząc sobie z warunkami uprawiania nauki w demokracji. Teraz jednak nadszedł czas jej końca i ktoś musi wydać wyrok, aby politologia nie utraciła swojej tożsamości* (s. 310).

Tak jest: Ryszard Skarżyński wezwał na pomoc pogotowie polityczne. Tyle że pogotowie – jak zwykle – się spóźnia z interwencją, wciąż nie ma tej pożądanej czystki. Postawa zaiste godna Łysenki i jego patrona, Wielkiego Językoznawcy.

Nie dziwi zatem, że sposobu rozstrzygnięcia sporu (tzn. „załatwienia” adwersarzy) – na wypadek, gdyby nie wystarczyła jego kanonada inwektyw i insynuacji – Ryszard Skarżyński szuka w rezerwuarze przytyków, etykietek i ofert politycznych.

Polityczne przytyki i podteksty

Jak głosi popularna w naszym środowisku anegdota, różnica między politologiem a politykiem jest taka, jak między seksuologiem a erotomanem lub impotentem. Może za to nie lubią nas niektórzy politycy?

Na wszelki wypadek, gdyby demaskatorski traktat nie dość zmobilizował środowisko do dekapitacji kilku-kilkunastu osób, Ryszard Skarżyński „politykuje”, tzn. życzliwie podsuwa politykom powód i zaproszenie do interwencji, która by sprawę (a raczej te osoby) załatwiła. Stąd wynika oryginalny sposób kwalifikacji i nominacji osobistych wrogów pana R.S. – w kategoriach politycznych właśnie. Dowiadujemy się więc, że teoretycy polityki w Polsce dzielą się na teoretyków PRL i teoretyków III RP, ze wskazaniem, że niektórzy z tego PRL-owskiego panteonu przepoczwarzyli się w teoretyków (a raczej nieuków, doktrynerów i propagandystów) III RP i umieszczeniem ich w zaszczytnym towarzystwie tych teoretyków III RP, którzy politologami stali się z tytułu krytyki PRL i jej spuścizny w tej dziedzinie. Nic nowego pod słońcem. Swego czasu nie tylko obok siebie wymieniano i sadzano na ławie oskarżonych ludzi o przeciwnych biografiach i poglądach, lecz także wymyślano pomysły, „dialektyczne” zbitki, takie jak agent syjonistyczno-trockistowsko-imperialistyczny. Echa takiej mentalności i poetyki pozostają, jak widać, żywe. Panteonu politologów IV RP Skarżyński nie wymienia – nie wiadomo, czy dlatego, że chce być pierwszym lub jedynym, czy też czeka na jakieś wytyczne. Ale pozostawienie tu miejsca do

wypełnienia to czytelna aluzja: ja jestem gotów. Tej oferty chyba jednak nikt podchwycił.

W rozprawie z osobistymi wrogami przydaje się nawet publiczny donosik. Z rozkoszą w charakterze szpileczki i *dossier* przytacza R.S. fragmenty publikacji – świadectw niegdysiejszego zaangażowania. Po pierwsze, w nadziei na skompromitowanie, ośmieszenie itd. – zgodnie ze stereotypem aktualnej politycznej poprawności. Ciekawostki biograficzne i metka ideologiczna mają zastąpić albo przesądzić o ocenie dorobku ściśle zawodowego. Po drugie, w tym celu, aby stawiając znak równości między tekstami publicystycznymi i ideologicznymi a teoretycznymi lub dokonując ich zestawienia obok siebie „uzasadnić” tezę, że ideolodzy-misjonarze (udający teoretyków) pozostają nimi w nowej skórze, a ciągną za sobą bagaż anachronizmów, że teoria polityki w ich wydaniu to niewiele odświeżone „wumle”. Słowem, bardzo „merytoryczna” polemika, tyle że wybiórcza, z ciekawym niedopowiedzeniem.

Nieładnie, towarzyszu Skarzyński! Jeśli już zebrało się na wspomnienia, akcenty nostalgii, to wypadałoby podzielić się z publicznością własnymi doświadczeniami, przeżyciami i osiągnięciami z okresu współprzynależności. Byłoby uczciwiej. Swoją drogą, gdy poznałem Ryszarda Skarzyńskiego, dałem się nawet nabrać – jak chyba całe otoczenie poza jego wcześniejszym i bliższym środowiskiem – na jego polityczne dziewictwo; dopiero niedawno sam mi przyznał, że prowadził np. ideologiczne szkolenia partyjne. Rozsądny człowiek, nawet pełen złości, raczej unika bumerangu.

Gotów jestem uwierzyć, że mój kolega (i były współtowarzysz) znalazł się w PZPR i tkwił w niej do czasu z ironicznym dystansem ze zwykłego wyrachowania i koniunkturalizmu. Nie jestem jednak pewien, czy to najlepsza legitymacja do rozliczania innych. Innej rzeczy jestem natomiast pewien: że przebywanie w kręgu tych, jak to dziś protekcjonalnie przedstawia, żywych przeżytków nie pozostało bez śladu w jego stylu myślenia i komunikacji. Retoryka i poetyka jego książki jako żywo reanimuje wzorce znane z broszury Lenina *Rewolucja proletariacka a renegat Kautsky* i z jeszcze bardziej pełnokrwistego dzieła: *Historia WKP(b). Krótki kurs*. Bardzo

polecam te lektury młodym politologom. Inwencja słowotwórcza Ryszarda i nowoczesny sztafaż etykietek i epitetów świadczy o tym, że uczeń (nawet małowierny) przerósł mistrzów.

Ale poważnie mówiąc: choć Ryszard jest ode mnie nieco młodszy, to mentalnie okazuje się znacznie, znacznie starszy.

Alternatywa – w błędnym kole

Czytelnik mniej zainteresowany, znużony lub zniesmaczony obsesyjnym osobistym atakiem na kilku teoretyków obranych za tarcze strzelnicze może mimo to wykazać cierpliwość i dotrzeć do tej partii książki, w której autor wyklada własny pomysł na teorię polityki. I rzeczywiście, cała część piąta to – w mniemaniu autora – oczyszczenie stajni Augiasza (z fałszywych założeń) i prezentacja koncepcji, która ma politologię postawić na nogi. Zarówno w samej książce, jak i w licznych wypowiedziach publicznych Ryszard Skarżyński bez zbędnej skromności stwierdza, że dla niego partnerem do poważnej rozmowy na temat, co jest polityczne, czym jest polityka i czym jest teoria polityki, może być tylko ten, kto przeczytał i zrozumiał (zdał egzamin?) jego kanoniczną część piątą. To ma być nowa Biblia dla politologów.

Zobaczmy zatem, jaką wartość ma jego autorska alternatywa. Skondensowany ekstrakt z tego wywodu znajdujemy na stronie 326. Imponująca jest sama w sobie logika wykładu – zanalizuję ten wywód z zachowaniem oryginalnej kolejności i ciągłości fragmentów.

Powinno stać się też teraz zrozumiałe, że polityka, w sensie działania zjednoczeń ludzi z powołania operujących wszystkimi środkami, nie jest zjawiskiem znaczącym w ramach procesów ewolucji ludzkich społeczeństw. Jednak jest zjawiskiem tak zmiennym, iż przyjmuje wiele postaci, a to wyklucza jej krótką lecz trafiającą w sedno i tym samym łatwo lokującą się w naszej pamięci definicję. Polityka jest przede wszystkim efektem mobilizacji politycznej, która określa jej sedno i funkcje, czyli przesądza o celach i pełnionych przez nią zadaniach (s. 326).

Polityka... nie jest zjawiskiem znaczącym w procesach ewolucji ludzkich społeczeństw. Arcyciekawe założenie; ale po co w takim razie kruszyć kopię – na 350 stron druku – o tak mało znaczący przedmiot i koncesję na jego badanie?

Polityka jest zjawiskiem zbyt zmiennym i wielopostaciowym, by możliwa była jedna celna jej definicja, która by wyczerpywała jej istotę. W związku z tym R.S. śmiało przedstawia własną zwięzłą definicję i wierzy, że spojrzenie na politykę przez pryzmat mobilizacji... politycznej (małe „masło maślane”) wystarczy, w każdym razie jako klucz do mądrości czy też kamień filozoficzny. Jeszcze nie wiemy, co jest polityką, bo też nie wiemy, co jest polityczne, ale polityczny typ mobilizacji znakomicie wyjaśnia nam esencję polityki. Student, który by tak radził sobie na egzaminie z logiki, zostałby odesłany – aż się nauczy. Ale wojowniczy profesor tytularny może bezkarnie sobie pozwolić na taką nonszalanję.

Ryszard Skarżyński próbuje teraz rozsupłać ten węzeł: *Mobilizacja polityczna to szczególny stan zjednoczenia ludzi, ujawniający się w tak intensywnej koncentracji i polaryzacji ich stosunków, że przeobrażają się w podmiot zdolny z powołania posłużyć się wszelkimi środkami, aby walczyć o ustanowienie w wielkiej przestrzeni powszechnego porządku wedle wyznawanej jego wizji* (cd. na s. 326).

To sformułowanie już uwalnia od poprzedniej tautologii, ale przy tym wyraźnie ukazuje, iż mobilizacja jest efektem, a nie źródłem czegoś, co stanowi esencję polityki. Tak czy inaczej właściwym punktem wyjścia okazuje się koncentracja uwagi i energii społecznej na pewnych kwestiach wymagających rozstrzygnięcia, a powodujących polaryzację społeczną. I to jest wyróżnikiem polityczności, a nie – wtórna, jako praktyczna tego konsekwencja – mobilizacja czy też potencjalna nieograniczoność repertuaru środków.

Tym zaś, na co zwróci uwagę filozof, logik, językoznawca i politolog obdarzony kulturą metodologiczną, jest fakt metajęzykowy, że słowo, ‘mobilizacja’ ma wiele kontekstów ontologicznych. Mobilizacją możemy nazwać różne kategorie ontyczne: proces społeczny; celowe oddziaływanie określonego podmiotu; spontaniczne współdziałanie wielu podmiotów; stan lub cechę zmobilizowania. Nie należy też

zapominać o takim niuansie, że może to być oddziaływanie odgórne lub równie dobrze spontaniczny i oddolny proces samoorganizacji jakiejś wspólnoty. I bynajmniej nie jest oczywiste definiowanie mobilizacji w kategoriach stanu, a już nie grzeszy logiką stwierdzenie, że stan (a nie proces) przeobraża ludzi w upodmiotowioną wspólnotę.

Jeśli powstały w rezultacie mobilizacji podmiot zdolny jest posłużyć się wszelkimi możliwymi środkami (i to ma czynić go podmiotem politycznym), to jak autor tego absolutnie nowatorskiego odkrycia wytłumaczy swoją szewską pasję w rozdeptywaniu (zresztą przez nikogo nie wypowiedzianej, jedynie insynuowanej adwersarzom) tezy, że „wszystko jest polityczne”? Niewiele tu zmienia żonglerka pojęciowa, tj. przesunięcie całego uniwersum do rezerwuaru potencjalnych środków działania. To oczywistość, że nie wszystko jest polityczne, choć niemal wszystko może być narzędziem, pretekstem lub materią polityki (jako obiekt regulacji, arena starcia). Ale w takim razie cała ekspedycja karna Ryszarda Skarżyńskiego przeciwko tym, którzy wykazują, że polityka może posłużyć się lub zajmować niemal wszystkim, jest strzałem we własne oko.

Dążenie do ustanowienia „w wielkiej przestrzeni” (to nazwa nieostra, a pojęcie blankietowe – można je wypełnić dowolną okazjonalną treścią) porządku przewidzianego pewną całościową wizją ma być wyróżnikiem i gwarancją politycznego charakteru działań? Zatem ci wszyscy, którzy nie mają wizji (ideologicznej, ustrojowej) ani całościowego projektu urzędzenia stosunków władzy i podziału dóbr, może nawet mają nieokreślone lub niespójne poglądy, względnie nie mają żadnego określonego poglądu w kwestii „wizji”, ale zabiegają o swoje interesy, wywierają naciski, formułują żądania, wymuszają decyzje lub okazują opór, protestują, wywołują konflikt itd. – oni wszyscy wyłączeni są z zakresu nazwy ‘podmiot polityczny’. Definicja ewidentnie zbyt wąska z punktu widzenia poczucia rzeczywistości, a przy tym zupełnie nieoryginalna, bo jest to tylko mutacja, spóźnione echo badanej przez wiele lat przez Skarżyńskiego orientacji decyzyjnistycznej. Użycie nazwy ‘podmiot polityczny’ zamiast terminu ‘podmiot polityki’ to znamienne

przesunięcie kategoriałne: zamiast analizować dowolne siły sprawcze zmian politycznych (występujące pod różnym szyldem i w różnej postaci, nierzadko traktujące politykę czysto instrumentalnie), mamy ograniczyć się do kręgu formalnie uprawnionych polityków z urzędu lub fetyszystów gry politycznej.

Zwróćmy jeszcze raz uwagę na wytrych „w wielkiej przestrzeni”. Jaki ma status poznawczy to enigmatyczne określenie? W jednym kontekście może mieć sens dosłowny (przestrzeń fizycznie wymierna), ale w innym – nader metaforyczny (np. jako bynajmniej niedomknięty i niekoniecznie skupiony w jednym miejscu „obszar” funkcjonowania pewnych idei, wzorów społecznych). Tyle, że wcześniej Skarżyński autorytatywnie wykreślił metaforykę z arsenału pojęć i metod teorii, jako zaprzeczenie nauki. Sam nie wie, że raz mówi prozą, a raz poezją? Raz językiem „ewidencji empirycznej”, innym razem językiem konwencji terminologiczno-pojęciowej. Gdy w dyletanckim ataku na cykl *Metafory polityki* wylewa dziecko z kąpielą, sam odcina sobie drogę przez niezrozumienie, że ogromna większość pojęć i modeli zjawisk, nie tylko zresztą w humanistyce, to... metafory, a nie określenia „zwierciadlane”.

Polityką są działania zjednoczeń ludzi zmobilizowanych do użycia z powołania wszystkich środków w układach sił, w których rozgrywa się walka o porządek przestrzeni dostępnej naszemu gatunkowi (cd. na s. 326).

Powtórnie dowiadujemy się, że jedna adekwatna i wyczerpująca definicja polityki jednak jest możliwa; z dyskretnym przemilczeniem faktu, że termin „polityka” ma wiele kontekstów, gdyż, z jednej strony może być odnoszony nie tylko do splotu działań różnych podmiotów, ale również do określonego ukierunkowania działań partykularnych konkretnych podmiotów (czyjaś polityka), a z drugiej strony do obiektywnych współzależności i nawet niezamierzonych oddziaływań różnych grup społecznych i wspólnot, w których partykularyzm grupowy zderza się z warunkami integracji i równowagi społecznej.

Przyznajmy jednak, że w tej poprawionej formule autor próbował wypłatać się z wcześniejszej tautologii definicyjnej (polityka definiowana przez polityczną

mobilizację). Po czym funduje sobie i czytelnikom nawracanym na nowe pismo święte oryginalne samozaprzeczenia.

Rozróżnienie tego, co polityczne i polityki nie jest wprowadzić fundamentalne dla politologii, ale ma znaczenie podczas wyjaśniania elementarnych błędów popełnianych przez politologów, przede wszystkim będących skutkiem koncentrowania uwagi na polityce i władzy politycznej (cd. na s. 326).

Stwierdzenie pierwsze jest, najdelikatniej mówiąc, nieściśle, a poza tym, że samobójcze dla teoretyka polityki. Aby zrozumieć, czym jest polityka (zwłaszcza wtedy, gdy rezerwujemy ten termin dla określenia pewnego typu działalności), trzeba ustalić, co jest jej materią lub impulsem do działania a także i właśnie to, czym różni się działanie od swego przedmiotu, powodu lub pretekstu. Nieprecyzyjne lub zasadniczo błędne określenie kryteriów polityczności sprawia, że za politykę uznajemy jej formę, fasadę, pozór albo pospolite politykierstwo.

Przedziwna, by nie rzec przecudowna, jest ta logika. Rozróżnienie polityki i tego, co polityczne, ma niewielkie znaczenie dla politologii, ale wobec tego ma znaczenie (kluczowe?) w analizie podstawowych błędów w niej popełnianych. Implikacja, powiedzmy, paradoksalna, lecz nie w znaczeniu dialektycznym, raczej klinicznym.

Taka teza – w sąsiedztwie całego aktu oskarżenia, że politolodzy (na czele z piętnowanymi teoretykami) jakoby nie wiedzą, co jest polityczne – to zapożyczenie z teatru absurdu. Skarzyński wywołuje awanturę pod hasłem, że wprowadzić założenie (o potrzebie rozróżnienia polityczności i polityki) nie jest najistotniejsze, ale jego zignorowanie lub błędna interpretacja różnicy to karygodny skandal. *Per analogiam*: Wprowadzić różnica między kryteriami zaliczenia dzieł ludzkich do dziedziny sztuki i kryteriami artyzmu a kryteriami rozróżnienia twórców i odbiorców sztuki oraz kryteriami uznania twórcy za artystę nie jest aż tak ważna, ale kto jej nie rozumie, ten nie ma prawa zajmować się teorią sztuki. Lub z innej sfery: wprowadzić różnica między nieumyślnym spowodowaniem śmierci a zabójstwem nie jest sprawą zasadniczą, ale kto nie rozumie tej różnicy, ten powinien dostać wyrok najwyższy.

Zauważmy też, jaką kwadraturę koła funduje sobie Skarżyński: nie należy koncentrować się na polityce i władzy politycznej, lecz szukać gdzie indziej kryteriów polityczności. Wszędzie poza tą sferą? Nie, w konkretnym kontekście. Optymistycznie zakłada, że ta właściwa lokalizacja „kamienia filozoficznego” (politologicznego) to „mobilizacja na rzecz urzeczywistnienia określonej wizji porządku w wielkiej przestrzeni”. Nie zauważa tylko, że jego sposób rozumienia owej mobilizacji politycznej (dokładniej wyłożony w innej książce³) wbrew deklaracjom przeniknięty jest perspektywą kratocentryczną (władza i źródłem wszystkiego, i pępkiem świata), a nie socjocentryczną, tzn. ujęciem procesów politycznych w kategoriach grupowego samookreślenia i samoorganizacji, artykulacji i reprezentacji interesów grupowych, ekspresji idei o masowym zasięgu, konfliktów zbiorowych również między podmiotami równorzędnymi sobie.

Przy tej okazji znów wyłazi na wierzch zwyczajna nieuczciwość całego pamfletu, gdyż to właśnie personalnie zaatakowani autorzy (Blok, Kaczmarek, Karwat, Klementewicz), potraktowani jako rzekomi sprawcy rozwodnienia politologii i rzecznicy anachronicznych schematów, właśnie w tych publikacjach, które Skarżyński z dezynwolturą etykietkuje, polemizują z redukcją pojęcia polityczności wyłącznie do antagonizmów, a pojęcia polityki do walki o władzę w państwie i sztuki rządzenia.

Podstawową kategorią politologii w sensie dyscypliny naukowej, jak określa ją teoria politologii definiująca jej przedmiot poznania, jest to, co polityczne, którego pierwotną i główną postacią jest podmiot polityczny, wyłoniony w efekcie mobilizacji politycznej (cd. na s. 326).

A więc wracamy do wyjściowej tautologii. Dowiadujemy się też, że jednak, to, co ‘polityczne’, jest podstawową kategorią politologii (choć wcześniej nie wydawało się aż tak ważne, czy nazwiemy coś polityką, czy politycznością). Jak go zwał, tak go zwał – czy też konsekwencja jak z kabaretu: pies, czyli kot?

³ Zob. Ryszard Skarżyński, *Mobilizacja polityczna. Współpraca i rywalizacja człowieka współczesnego w wielkiej przestrzeni i długim czasie*, Warszawa 2011.

Pierwotną postacią tego, co polityczne jest podmiot polityczny? Ten podmiot polityczny, skoro jest wytworem owej „mobilizacji politycznej”, jest co najwyżej wtórnym nośnikiem (nosicielem), a nie źródłem polityczności. To rozbieżność interesów i dążeń grupowych generuje owe – jak to określa Skarżyński – zjednoczenia ludzi, powoduje mobilizację w określonych celach i formach. Co pierwotne, a co wtórne, określa ten teoretyk jak z drugiej strony lustra albo z negatywu zdjęcia. I w tym miejscu rozumuje analogicznie jak swego czasu metafizycznie nastawieni teoretycy prawa, szukający jego źródeł w grundnormach albo w stanach psychicznych prawodawców zamiast w rzeczywistości społecznej.

Podstawowym rozróżnieniem politycznym jest rozróżnienie przyjaciela i wroga. Podstawowym rozróżnieniem politologicznym jest rozróżnienie podmiotu politycznego i środka politycznego (cd. na s. 326).

Pierwsze zdanie to oczywiście echo (lub też czkawka) wieloletniej przygody Skarżyńskiego z Carlem Schmittem i brzmi jak kurtuazyjnie miłe wspomnienie żony o byłym mężu, zwłaszcza w sąsiedztwie ze zdaniem drugim, gdy schmittolog i dawny schmittysta przecina pępownię i próbuje „pójść na swoje”. Mimo woli sugeruje, że rozróżnienie pierwsze ma charakter potoczny (tak myślą politycy i zwykli zjadacze chleba uwikłani w ich gry), podczas gdy to drugie, które sam spłodził, ma mieć walor teoretycznego klucza. Niestety, jest to klucz do nie wiadomo jakiej dziurki, skoro środki mogą być dowolne (i ich charakter nie ma znaczenia, lecz tylko efekt ich zastosowania), zaś podmiot polityczny to efekt mobilizacji politycznej. Czyjej? W jakiej sprawie? Na czyją korzyść? Czyim kosztem? To jest klucz do ustalenia, co jest polityczne. Charakter problemów i wyzwań społecznych, alternatyw rozwojowych, dylematów decyzyjnych, forsowanych rozstrzygnięć. Nie forma – zmienna i często zwodnicza – lecz meritum określa treść polityki, kryteria polityczności. Podmiot i środek jako prapoczątek to nie strzał w dziesiątkę, lecz kulą w płot.

Wyodrębnienie tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne, pomimo jego wielu zadziwiających cech, jest łatwiejsze, aniżeli się przypuszcza. Trzeba tylko wyrzec się perspektywy innych nauk społecznych i uświadomić sobie obecność przedmiotu

poznania politologii. Teoretycznie wszystko może stać się polityczne, ale nigdy nie dochodzi do takiego stanu, aby wszystko było polityczne. Wprawdzie podmioty polityczne nie mają sobie równych rywali, lecz nie są w stanie kontrolować tego, co społeczne w całości. Poza tym muszą żywić się tym, co nie jest polityczne (cd. na s. 326).

Tu Skarżyński powtarza i potwierdza swoje złudzenie o rzekomej odrębności, gatunkowej jednorodności i czystości zjawisk politycznych oraz jakiejś samożywności polityki (jako praktyki) i politologii (jako dyscypliny naukowej). Nie sprawdza się to nawet w trybie definiowania *per genus proximum et differentiam specificam* ze względu na wieloaspektowość tych samych zjawisk (jako jednocześnie ekonomicznych, politycznych i prawnych; jednocześnie kulturowych, technicznych i np. militarnych), przenikanie się zjawisk z różnych sfer, dynamikę ich tożsamości i współzależności.

I znowu widzimy dziecinną wręcz sprzeczność w rozumowaniu. Z jednej strony Ryszard Odnowiciel stwierdza kategorycznie, że przedmiot poznania politologii możemy ustalić jedynie pod warunkiem jej separacji od pojęć, problemów badawczych i schematów poznawczych socjologii, ekonomii, prawoznawstwa, historii, psychologii społecznej, etyki, pedagogiki. Z drugiej strony sam przyznaje, że podmioty polityczne „muszą żywić się tym, co nie jest polityczne”. Co ma z tym zrobić politolog? Recepta jest iście schizofreniczna. Z jednej strony politolog powinien zachować poczucie rzeczywistości i przyjąć do wiadomości, że podmioty polityczne zajmują się „niepolitycznymi” sprawami. Ale to niejako na prywatny użytek, by nie być oderwanym od życia. Z drugiej strony jednak w dążeniu do akademickiej krystalizacji przedmiotu politolog powinien wykreślić te „niepolityczne” sprawy i zjawiska z zakresu swych badań, gdyż jako zjawiska ekonomiczne należą do zakresu ekonomii, jako zjawiska estetyczne do zakresu estetyki lub historii sztuki, zaś gdy chodzi o normy prawne, ich stanowienie, wykładnię i stosowanie, należy to pozostawić prawnikom (politolog nie ma tu nic do roboty?).

Ta naiwnie formalistyczna delimitacja brzmi jak spóźniona i przy tym karykaturalna kopia dawnej dogmatyki prawa. I pozostaje taką samą kwadraturą koła, jak dylemat bibliotekarza w katalogu rzeczowym, czy książkę *Socjologia wychowania* zaliczyć do działu pedagogiki, czy też do działu socjologii. Skarzyńskiemu taka rozdzielnosc i gatunkowa czystosc przedmiotu wydaje się zaprzeczeniem potoczności, choć w istocie jest odwrotnie, gdyż stoi za tym potoczne rozumienie przedmiotu badań, porównywalne z Kargulowo-Pawlakowym sporem o płot i kota.

Autokompromitacja

Podsumujmy. Nauczycielem „naukowości” w przeciwstawieniu do potoczności mieni się profesor, który sam pracowicie wykazał w swym dziele, że zupełnie potocznie rozumie wszystko, o czym tak apodyktycznie i historycznie się wypowiada: naukę, dziedzinę, przedmiot nauki (a dziedzina i przedmiot to niezupełnie to samo), dyscyplinę naukową, teorię. I nie grzeszy logiką w swym rozumowaniu, nieraz zaprzeczając sobie nawet w kolejnych zdaniach na tej samej stronie.

Strażnikiem standardów kultury metodologicznej ogłasza się – samozwańczo i jako „jedeny mądry w całej wsi” – autor, który we własnym pamflecie na wszystko i wszystkich nie odróżnia zdań ściśle ogólnych (hipotetyczno-warunkowych, a nawet „kontrfaktycznych” – czyli idealizacji) od generalizacji, tych zaś od zdań jednostkowych. Obce mu są kwantyfikatory, natomiast kocha zdania eliptyczne, których treść jest wprawdzie nieprecyzyjna (Wszyscy? Zawsze? Wszędzie?), ale podane w tonacji emocjonalnej brzmią nader kategorycznie. Zupełnie podobnie jak u pospolitego demagoga, który swoiście rozumianą ekspresywność (skłonność do „mocnych słów” o mętnej treści) myli z wyrazistością myśli.

Walkę o „naukowość” ogłasza krytyk, który w cudzych omawianych tekstach nie odróżnia charakterystyk opisowych lub modeli eksplanacyjnych badanych zjawisk od autorskich komentarzy aksjologicznych czy normatywnych do ukazywanych prawidłowości; nie dostrzega różnicy, ale i związku, między logiką zdań

deskryptywnych a logiką deontyczną i schematami uzasadniania dyrektyw socjotechnicznych.

Za jedyne prawdziwego teoretyka polityki uznaje siebie uczony, który przy próbie sformułowania własnej definicji polityczności i polityki popełnia wszystkie możliwe szkolne błędy (*ignotum per ignotum; idem per idem; circulus viciosus*; zbyt wąsko; zbyt szeroko; przesunięcie kategoryjne).

Porównując poziom metodologiczny tej szarzy z tym, czego wymaga się od studenta politologii już na początku nauki, a tym bardziej w pracy dyplomowej, dostrzeżemy żenujący blamaż.

Nauczycielem i poniekąd wychowawcą młodej kadry politologów chce być kolega tak dalece owładnięty własnymi kompleksami, frustracjami i dziecinnymi odruchami porachunków osobistych, że zupełnie traci samokontrolę nad własnymi emocjami, wskutek czego nie jest w stanie odróżnić swoich subiektywnych i życzeniowych opinii (naginanych do uprzedzeń) oraz urojeniowych wyobrażeń od stanu rzeczywistego.

Do rangi guru pretenduje i autorytetem moralnym usiłuje być człowiek nie mający pojęcia o kulturze dyskusji, szacunku dla innych, rzetelności argumentacyjnej, odpowiedzialności za słowo, uprawiający w swej „pryncypialnej” filipice prymitywny relatywizm i kręactwo. „Polemizuje” i „recenzuje” ktoś, kto nie jest w stanie rzetelnie przytoczyć cudzych tez, definicji, rozprawia się z tym, co wcześniej sam przeinaczył. „Dyskusję” prowadzi arbiter, który nie uznaje reguł dyskusji, a zamiast tego apodyktycznie ogłasza tezy objawione (jak te o naturze ludzkiej czy racjonalności), zupełnie ignorując zróżnicowanie poglądów i dekretniejąc z dyktatorską manierą, co już ustalono, a nad czym dyskusję ostatecznie zamknięto.

Najwięcej krzywdy wyrządza Ryszard Skarżyński samemu sobie, niwecząc tą książką i swoją prywatną wojną własną reputację poważnego uczonego, na którą zapracował wcześniejszymi osiągnięciami – ale bynajmniej nie jako teoretyk polityki, do czego ewidentnie nie ma predyspozycji, lecz jako historyk myśli politycznej, interpretator różnych doktryn i nurtów ideologicznych. Źródłowej, interpretacyjnej

i argumentacyjnej skrupulatności, jakiej wymaga to historyczne rzemiosło, zupełnie nie przenosi na sferę dyskusji z żyjącymi kolegami (konkurentami? osobistymi wrogami?), których chciałby uśmiercić inwektywami i karykaturalnym wizerunkiem ich poglądów oraz wpływu na środowisko. Wielki pośpiech, z jakim nagle, z dnia na dzień odkrył w sobie powołanie teoretyka i objawił się otoczeniu w tej roli, nie pozwolił mu na uświadomienie sobie, że łatwiej uchodzić za mądralę w roli interpretatora czy nawet krytycznego komentatora cudzych poglądów (zwłaszcza osób już nieżyjących) niż stworzyć już na własną odpowiedzialność coś, co trzymałoby się kupy i obronić to w równoprawnej dyskusji.

Czytelnik jego książki rzeczywiście odczuwa podstawowy dylemat – ale inny niż sobie autor wyobraża. Dylemat czytelników tej książki to zagadka, czy wypowiadając z emfazą i apodyktycznym tonem głupstwa i dyletanckie wyroki autor sprzeniewierza się własnej kompetencji, ze względu na banalne i nieprofesjonalne zacierzowanie, czy też mimowolnie obnaża luki w swoim wykształceniu albo granice swych uzdolnień. Poza tym dylematem pozostaje pewność, że w świetle tego *opus magnum* jego mniemanie o sobie znacznie przewyższa to, co jest w stanie zrozumieć i uzasadnić. Wzorowe *seppuku*.

Lecz przy okazji Skarzyński podsuwa otoczeniu fałszywy obraz sytuacji w nauce o polityce, utwierdza stereotyp politologów, który – czego wyraźnie nie rozumie – jego samego także dotyczy. Stereotyp skwapliwie podchwytywany przez dyletantów w mediach i w kręgu samych polityków, czego aktualnych przykładów jest aż nadto. Zresztą, poziomem swej polemiki mimo woli uosabia taki zbiorowy portret środowiska, jaki nakreślił. Na ochotnika osobiście służy za dowód marności politologii.

A przy tym jego makiawelizm (bo usiłuje w tej szarży być bardzo przebiegły, bawi się jednocześnie w Savonarolę i w liska-chytruska) ma posmak schizofrenii. Obraża i zalicza do „śmietnika” tych, których podobno chce przekonać, uratować i pozyskać dla swych koncepcji. To kandydat na przywódcę, który przed wyborami próbuje wyrznąć wyborców. Zniesławiając i ośmieszając całość, której sam jest

ogniwem i wytworem, mniema, że dowodzi własnej wyższości, choć ujawnia jedynie własną dezorientację i zagubienie.

Co prawda, pod jednym względem książka ta zapewniła autorowi sukces, a nawet trwałe miejsce w historii nauki. Skandalistyczna, miejscami wręcz brukowcowa konwencja tego „dzieła” okazała się skuteczną formą autopromocji. Sfrustrowany megaloman cierpiący na kompleks peryferyjności, prowincjonalności (jak gdyby to miejsce pracy i zamieszkania decydowało o kwalifikacjach i wartości dorobku) oraz zapomnienia i nieobecności w środowisku (na co sam zapracował wcześniejszą praktyką autoizolacji) z dnia na dzień wyrósł na postać będącą w centrum uwagi, sprawcę sensacji, obiekt swoistej fascynacji. Niedopieczony profesor herostratejską prowokacją wywalczył sobie status politologicznego celebryty, a jego dzieło zapewne jest pierwszym w dziejach politologii egzemplarzem tabloidalnego gatunku literatury „naukowej”. Tylko pogratulować zmysłu praktycznego, celnego wstrzelenia się w trend. Upojony swym fajerwerkiem nie zauważył tylko, że to nie jest spełnieniem wielkich naukowych ambicji, lecz zastępczą karierą skandalisty.

Po takim popisie kultury i kompetencji metodologicznej chyba nikt nie potraktuje go poważnie jako twórczego teoretyka lub lidera środowiska. Na pociechę ma poczucie, że przez wywołane zamieszanie i sensację stał się znany i „ważny”. Zabłąsnał jako Kononowicz, a zarazem Macierewicz polskiej politologii, jak to zauważył jeden z moich kolegów.

Mimo wszystko życzę koledze powrotu do formy i do normy.

Mirosław Karwat – profesor w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego